

I

Muzyczna ekstaza

Czuję, że ubywa mi materii, mój opór fizyczny słabnie, a ja sam, w miarę jak wznoszą się melodie wewnętrzne, rozpływam się w harmonii. Rozproszone doznanie, niewysłowione wrażenie sprowadzają mnie do nieokreślonej sumy drżeń, wewnętrznych rezonansów i urzekających dźwięków.

Wszystko, co uważałem w sobie za niepowtarzalne, odosobnione w materialnej samotności, utrwalone w fizycznej spoistości i określone przez sztywną strukturę, wydaje się rozplwawać w rytmie uwodzącego olśnienia i nieuchwytniej płynności. Jakże mógłbym opisać słowami, w jaki sposób rozwijają się melodie, w jaki sposób drży moje ciało wintegrowane w powszechną wibrację, w fascynujących sinusoidalnych ewolucjach, których eteryczna nierzeczywistość mnie porywa. W chwilach wewnętrznego umuzycznienia traciłem poczucie ciężącej materialności, ubywało mi mineralnej substancji, tej skamieliny wiążącej mnie z nieuchronnym, kosmicznym przeznaczeniem, wzbijałem się w przestrzeń, ludzomy mirażami, niepomny ich zwodniczości, obojętny na ich nierzeczywistość. Nikt, kto nie potrafi cieszyć

się tą zatrutą rzeczywistością, kto nie kocha marzeń sennych bardziej niż naoczności, nie pojmie nieodpartego czaru melodii wewnętrznych, nie dozna uniesienia i rozkoszy. Stan muzyczny nie jest złudzeniem, gdyż żadne złudzenie nie może osiągnąć takiego stopnia pewności ani wywołać tak organicznego doświadczenia absolutu, nieporównywalnego z niczym przeżycia, mającego znaczenie samo w sobie i tak wyrazistego w swej istocie. W momentach, kiedy rezonujemy w przestrzeni, a przestrzeń rezonuje w nas, w tych momentach zanurzenia w strumieniu dźwięków, gdy mam poczucie całkowitego panowania nad światem, nie mogę nie zadać sobie pytania, dlaczego nie jestem wszechświatem. Nikt, kto nie poddał się pragnieniu tej absolutnej wyłączności, kto nie doświadczył nieuleczalnego metafizycznego imperializmu, chcąc usunąć granice oddzielające świat od „ja”, nie zaznał z taką szaloną i niezrównaną intensywnością muzycznego doświadczenia egzystencji. Stan muzyczny łączy w jednej osobie nieograniczony egoizm z najwyższą formą szlachetności. Chce się być tylko sobą nie z niskiej pychy, lecz z najwyższej woli jedności, chęci zniesienia bariery jednostkowości nie po to, by spowodować zniknięcie jednostki, ale po to, by pokonać zniewalające nas warunki narzucone przez istnienie tego świata. Ten, kto nie odczuł zanikania świata jako ograniczającej, obiektywnej i odrębnej rzeczywistości, kto we własnych porywach muzycznych, drżeniach i wibracjach nie miał wrażenia wchłaniania go w siebie, ten nie zrozumie nigdy sensu doświadczenia, w którym wszystko przemienia się we wszechogarniającą, powszechną, ciągłą, wstępującą, zmie-

rzającą ku wyżynom w stanie urzekającego chaosu dźwięczność. Czymże jest stan muzyczny, jeśli nie łagodnym chaosem, którego szczyty upojenia stanowią niebiańska błogość i kołysanie zachwyty?

Życie pragnę tylko dla tych chwil, w których odzyskuję całe istnienie jako melodię, kiedy wszystkie rany mego bycia, wszystkie wewnętrzne krwawienia, wszystkie powstrzymywane łzy i przecucie szczęścia, które zjawiały się pod letnim niebem wiecznego błękitu, skupiły się po to, by stopniem u zbiegu brzmień, w porywie melodii i powszechnej komunii, ciepłej i dźwięcznej.

Wpadam w zachwyt i omdlewam z rozkoszy w obliczu muzycznej tajemnicy tkwiącej we mnie, która odbija się w melodyjnych falach, która rozbija mnie i sprowadza moją istotę do czystego rytmu. Utraciłem substancjalność, ten nieredukowalny element, który nadawał mi wyrazistość i kontur, który wprawiał mnie w drżenie w obliczu świata i sprawiał, że czułem się porzucony w śmiertelnej samotności; osiągnąłem łagodną i rytmiczną niematerialność, w której dalsze poszukiwanie „ja” nie ma już żadnego sensu, gdyż moje *umelodyjnienie*, moja przemiana w melodię, czysty rytm, wyrwało mnie z codziennej względności życia.

Moją najwyższą wolą, wolą uporczywą, wewnętrzną, która pożera mnie i wyczerpuje, byłoby nigdy już nie powrócić z tego muzycznego stanu, żyć w zachwycie, oczarowaniu, pogrążony w melodyjnym upojeniu, odurzeniu boskimi dźwiękami, być samemu muzyką sfer, eksplozją wibracji, kosmicznym śpiewem, wzlotem w spirali rezonansów. Pieśni smutku przestają w tym uniesieniu sprawiać

ból, a łyzy palą jak w stanie najwyższego objawienia mistycznego. Jak mógłbym zapomnieć powstrzymane łyzy tego najwyższego szczęścia? Musiałbym umrzeć, abym już nigdy nie musiał powracać do innych stanów. W moim wewnętrznym oceanie płynie tyle samo łyz ile drzeń, które uczyniły me życie niematerialnym. Gdybym umarł w tej chwili, byłbym najszczęśliwszym z ludzi. Zbyt wiele wycierpiałem, by niektóre odmiany szczęścia nie stały mi się nieznośne. A moje szczęście jest tak kruche, obwiedzione płomieniami, nawiedzane zawieruchami, spowite spokojem i jasnością zjednoczonymi z rozpaczą w porywie melodii, że przenosi mnie w stan rozkoszy o zwierzęcej sile i demonicznej obcości. Nie potrafilibyśmy przeżyć do samej głębi muzycznego doświadczenia egzystencji, gdybyśmy nie byli w stanie znieść tego niewyrażalnego wstrząsu, głębokiej obcości, nerwowego, napiętego paroksyzmu. Drzenie aż do punktu, w którym wszystko staje się rozkoszą. Jeśli nieobecna jest w tym stanie ekstaza, nie ma też muzyki. Ekstaza muzyczna jest powrotem do tożsamości, do pierwotnego źródła, pierwszych korzeni istnienia. Nie ma w niej nic prócz czystego rytmu egzystencji, wewnętrznego i organicznego prądu życia. *Słyszę* życie. Tam rodzą się wszelkie objawienia.

Tylko w muzyce i w miłości doznajemy rozkoszy aż do zatury w śmierci, w tym spazmie napiętności, w którym umieramy, nie mogąc znieść swych wewnętrznych drzeń. I radujemy się myślą o nagłej śmierci, która uwolniłaby nas od konieczności przeżycia tych chwil. Rozkosz umierania, bez związku

z obsesyjnymi myślami i świadomością śmierci, rodzi się w wielkim doświadczeniu jedności, kiedy czujemy, że stan ten już nigdy nie powróci. Te wyjątkowe doznania obecne są tylko w muzyce i miłości – całymi sobą zdajemy sobie sprawę, że nie ma dla nich powrotu i całym sercem oplakujemy codzienne życie, które na powrót stanie się naszym udziałem. Z jaką zadziwiającą rozkoszą przychodzi nam na myśl, że można umrzeć w takiej chwili i przez to jej *nie utracić*. Powrót do codziennej egzystencji po takim doświadczeniu stanowi nieskończenie większą stratę niż ostateczne zniknięcie. Żal, że nie można umrzeć na szczytach stanu muzycznego i erotycznego, uświadamia nam, ile mamy do stracenia, *żyjąc*. W chwili, kiedy pojmiemy lub wyobrazimy sobie odwracalność stanu muzycznego i erotycznego, kiedy przeniknie nas organicznie myśl o możliwości odrodzenia, kiedy jedność wyda nam się zwykłym złudzeniem, nie będziemy już mogli mówić o rozkoszy umierania i powrócimy do doświadczenia śmierci immanentnej życiu, która czyni z niego tylko drogę ku śmierci. Aby pogрузić się w śmiertelnych rozkoszach, należałoby doskonalić i pielęgnować te wyjątkowe stany, których odwracalność jest niepojęta.

Muzyka i miłość nie mogą pokonać śmierci, ponieważ do ich istoty należy to, że kiedy wzrasta ich siła, same się do niej zbliżają. Tylko w początkowym stadium mogą być bronią przeciwko umieraniu. Tylko łagodna muzyka i zgodna miłość mogą stawać z nią w szranki. Pokrewieństwo między miłością a śmiercią nie jest większe niż między muzyką a śmiercią, ponieważ związek między nimi ustanawiany jest

przez *skok*, który być może nie jest niczym więcej niż *wrażeniem*, ale który nie jest przez to mniej znaczący wewnątrznie. Erotyczny i muzyczny skok ku śmierci! Nieznośna pełnia pierwszego z nich unosi nas, drugi łamie opór jednostkowości wszechogarniającą wibracją. To, że znaleźli się jeszcze ludzie pragnący popełnić samobójstwo z niemożności zniesienia szaleństw miłości, przywraca dobre imię ludzkości, również szaleństwom, którym poddaje się człowiek w doświadczeniu muzycznym. Niezrozumienie muzyki i niezdolność jej odczuwania to zbrodnia. Jest nią również niezdolność wyobrażenia sobie, że w takich chwilach mogłoby się zbrodnię popełnić.

Stany te nie mają wartości ani nie wyrażają żadnej szczególnej głębi, jeśli nie prowadzą do żalu, że się nie umiera. Ten, kto w każdej sekundzie by czuł, że umiera z ich powodu, osiągnąłby najgłębsze doświadczenie życia. Mimo że umieranie zaczyna się dla nas wszystkich wraz z życiem, niewiele spośród nas znane jest doświadczenie umierania w każdej chwili.

Nieustannie dokonywać muzycznego i erotycznego skoku w śmierć! Albo niech wypływa on z własnej samotności, niech będzie samotnością bycia, samotnością ostateczną. Jakie *inne* jeszcze samotności mogą nastąpić po niej, jakie inne jeszcze smutki? Czym byłyby moje rozkosze bez mojego smutku i czym byłyby moje łzy bez mych smutków i bez mych rozkoszy? Czym byłyby mój śpiew bez moich otchłani, a moje posłannictwo – bez mojej rozpacz?